

Apartheid jako rozwiązanie?

15 lipca 2008

Obywatela Południowej Afryki ogarnia wrażenie déjà vu praktycznie od pierwszej chwili, gdy przybywa do Palestyny/Izraela. Powiedzmy to inaczej: obywatele RPA, którzy musieli żyć (przetrwąć) pod władzą apartheidu, albo ci, którzy się z nimi solidaryzowali, natychmiast poczują się poruszeni tym wymuszonym wykluczeniem Palestyńczyków. W pewnym stopniu wszyscy jesteśmy po prostu dziećmi swoich losów, przywiązujemy wagę do naszych własnych historii, a lekceważymy historie innych. Jestem wstrząśnięty tym, jak zwyczajni ludzie, których „serca nie są z kamienia”, zaczynają wyrażać się dwuznacznie, kiedy mowa o Izraelu i wywłaszczeniach oraz cierpieniach Palestyńczyków. I zastanawiam się wtedy, czym jest przyzwoitość. Czy „obiektywizm”, „umiarkowanie” i „obie strony medalu” można wyrwać z kontekstu?

Palestyna/Izrael to dziwne miejsce; tutaj separacja jest ceniona przez wielu porządných ludzi i prezentowana jako „droga do pokoju”, podczas gdy ci-już-nie-tak-sympatyczni otwarcie głoszą potrzebę czystek etnicznych. Ale nawet z tymi, antypatycznymi, niezależnie od tego, co mówią, ciągle jeszcze można prowadzić interesy. Apartheid w Południowej Afryce świat uważał za problem, ale apartheid w Izraelu uważa się za rozwiązanie.

Wielu, pod innymi względami porządných ludzi, dla których wywłaszczenia i dyskryminacja nie są codziennością, ceni stabilizację i moralnie ją usprawiedliwia, podnosząc do miana „pokoju”. I tak stabilizacja utożsamiona z pokojem staje się najważniejszym celem, do którego należy dążyć. Slogan „popieramy proces pokojowy” staje się mantrą „porządných ludzi”. Ale czasami odmowa wstąpienia do chóru tych porządných ludzi może wynikać z przekonania, że wykluczenia nie można uznać za dobre rozwiązanie, a „bycie sympatycznym” i „pragnącym pokoju” nie koniecznie jest tożsame z pragnieniem

sprawiedliwości i prawością. „Czy nie było, by milej, gdyby ta maltretowana kobieta przestała wreszcie zawstydzać swojego męża tym, że krzyczy, gdy ją bije? Dlaczego nie skoncentruje się należycie na byciu dobrą matką? Czy ktoś ją w końcu uspokoi?” Ważne jest, żeby każdy zastanowił się nad takimi pytaniami, jak: „Z kim chcę trzymać?”, „Do czego to zmierza?” i „Czyj to jest pokój/spokój?”, jeśli nie chce być wyprowadzony w pole. Chyba, że właśnie tego chce.

W kraju, z którego pochodzę, odwoływaliśmy się kiedyś do sumienia świata; liczyliśmy, że wszyscy ci „porządni ludzie” wprowadzą sankcje ekonomiczne, akademickie i kulturalne wobec Południowej Afryki. Albert Luthuli, ojciec naszego narodu i laureat Nagrody Nobla już w 1960 r. apelował do świata:

„Z radością powitamy jakiekolwiek działanie obcych narodów zmierzające do zapoczątkowania bojkotu [...] W tym naprawdę jest nasza nadzieja, że uda nam się wyrzucić presję na RPA, i przez to RPA zmieni swoje postępowanie wobec nie-Europejczyków... My jako Afrykanie, jako ludność uciskana, wiemy, że na drodze do wolności nie unikniemy cierpienia. Ale dla nas będzie to demonstracja solidarności ze strony narodów kochających wolność. [...] My musimy do końca realizować naszą politykę niestosowania przemocy. [...] Dlatego będziemy się cieszyć z waszej decyzji o bojkocie, [...] wierzymy, że z działań wymierzonych przeciwko dominacji Afrykanerów i wyzwolkowi milionów Afrykanów może wyniknąć wyłącznie dobro”. („Boycott Us”, „Spectator”, 12 lutego 1960).

Jednak inwestorzy i turyści, pewnie w większości mili ludzie, ciągle przybywali – twierdząc, że są niewinni i apolityczni – a my nimi gardziliśmy. Przyjeżdżali na zaproszenie „białej” Południowej Afryki. Mieli pieniądze i mogli decydować, co zrobić z tymi pieniędzmi. Zdominowana przez białych ekonomia potrzebowała tych pieniędzy, tak jak sutenerzy w innych krajach potrzebują seksturystów. Wielu z tych, którzy przyjeżdżali wtedy do RPA, wracało do domów oczarowanych tym, co nasz kraj miał do zaoferowania i kompletnie nieświadomych,

jaka jest rzeczywistość postaci, które się do nich uśmiechały i ich obsługiwały: „Ach, byłem w Południowej Afryce i już nie dam się ogłupić tej propagandzie. Czarni są tam w rzeczywistości bardzo szczęśliwi”.

WYKLUCZENIE

Wykluczenie nie jest zjawiskiem występującym tylko w Palestynie/Izraelu, co może potwierdzić każdy chodzący do kościoła Amerykanin. Nawet w postapartheidowej Południowej Afryce zdecydowana większość białych nigdy nie była w dzielnicach, w których mieszkają czarni, czy kolorowi, a większość kolorowych nie była w dzielnicy, w której mieszkają czarni. Ale, gdy wykluczenie podnoszone jest do miana dogmatu i staje się częścią ideologii, gdy jest wspierane przez prawo i jego instytucje (ten ostatni warunek przesądza o tym, że to rzeczywiście apartheid), wtedy mamy do czynienia z czymś naprawdę odrażającym. I nie ma znaczenia to, czy zrodziła go prawdziwa trauma, ani to, czy podtrzymuje to wszystko jakieś głębokie przekonanie wynikające z religii. To, w jaki sposób radzimy sobie z naszą krzywdą i obojętnością świata (a właściwie jego niegodziwością, którą jest w rzeczywistości nawet milczenie), nigdy nie usprawiedliwia krzywdzenia innych, czy obojętności wobec ich krzywd. Wykluczenie jest nie tylko solidnym fundamentem pod ignorancję. Jest to również punkt wyjścia do tego, żeby zaprzeczyć cierpieniu i upokorzeniu innych, która to postawa wynika ze skoncentrowania na sobie i swoim cierpieniu.

Obywatela Południowej Afryki ogarnia wrażenie déjà vu praktycznie od pierwszej chwili, gdy przybywa do Palestyny/Izraela. Powiedzmy to inaczej: obywatele RPA, którzy musieli żyć (przetrwać) pod władzą apartheidu, albo ci, którzy się z nimi solidaryzowali, natychmiast poczują się poruszeni tym wymuszonym wykluczeniem Palestyńczyków. W pewnym stopniu wszyscy jesteśmy po prostu dziećmi swoich losów, przywiązujemy wagę do naszych własnych historii, a lekceważymy historie innych. Być może to byłaby trafna definicja moralności, że to

zdolność do tego, żeby poruszały nas historie innych. Nie zawsze mamy możliwość zareagować na to, co widzimy, ale zawsze możemy wybrać, czy chcemy zobaczyć. To jest nasz wybór, czy losy innych nas poruszają, a stopień, w jakim tego doświadczamy być może jest miarą naszego człowieczeństwa.

SŁOWA – KTÓŻ MA NAD NIMI WŁADZĘ?

Postmodernistyczni filozofowie, feministki, teologowie wyzwolenia i inni postępowi myśliciele już od dawna próbują zdemaskować mit obiektywności i uważają, że istotny jest punkt wyjścia do dialogu: „Powiedz nam tym, jaką reprezentujesz klasę i płeć. Przez jakie soczewki oglądasz świat?” Zaprzeczenie istnieniu „soczewek” jest równoznaczne z akceptacją dominującego status quo. To trochę jak z angielskim słowem mankind. „Och” – argumentują ci podobno obiektywni – „Czemu chcecie upolityczniać słowa i robić zamieszanie wokół języka? Kiedy mówimy mankind, w rzeczywistości uwzględniamy również kobiety!” Język, któremu tak nie poświęcamy uwagi, często służy za narzędzie do podporządkowywania sobie innych. W obrębie mitu, że język jest neutralny, użycie alternatywnego wyrażenia humankind jest lekceważone jako „poprawne politycznie”, i jako takie, uważane raczej za element dziwnej mody wprowadzanej przez hippisów z nostalgii za latami 60., niż za część dążenia do sprawiedliwości, jakkolwiek by to dążenie nie było nawet ułomne i nieadekwatne.

Kiedy idę przez dzielnice, gdzie seks jest na sprzedaż, mogę wybrać, czy oglądam je poprzez soczewki seksturysty, czy poprzez soczewki sekspracownika sprzedanego do tej branży, albo zmuszonego poprzez biedę i wyzysk, żeby się do niej samodzielnie zgłosić. Wybieram spojrzenie poprzez soczewki tych marginalizowanych i wyzyskiwanych i decyduję, że ta perspektywa powinna być uprzywilejowana w stosunku do innych. Dotyczy to również Palestyny/Izraela.

Tak, więc możemy mówić o seksturystyce lub o seksualnym wyzysku. Albo jeszcze gorzej, możemy w ogóle wybrać

określenie, które jest całkowicie nieadekwatne i użyć pozornie neutralnego „po prostu się zabawić”, czy „odprężyć”. To jak się kto „bawi”, oczywiście zależy od tego, jakie miejsce zajmuje w strukturze siły.

Jestem wstrząśnięty tym, jak zwyczajni ludzie, których „serca nie są z kamienia” zaczynają wyrażać się dwuznacznie, kiedy mowa o Izraelu i wywłaszczeniach oraz cierpieniach Palestyńczyków. I zastanawiam się wtedy, czym jest przyzwoitość. Czy „obiektywizm” i „umiar” i „obie strony medalu” można wyrwać z kontekstu? Czy „umiar” w głoszeniu niesprawiedliwości rzeczywiście jest cnotą? Czy rzeczywiście obie strony zasługują na to, żeby ich racji wysłuchać jednakowo, np. w sytuacji, gdy kobieta jest bita przez męża, który też był dawno temu bity przez swojego ojca, bo „on też jest ofiarą”? Dlaczego ktoś ma cierpieć dlatego, że ktoś był kiedyś krzywdzony przez kogoś zupełnie innego?

Kiedy określamy problem jako „konflikt izraelsko-palestyński”, albo gorzej „konflikt izraelsko-arabski”, czy „sytuację na bliskim wschodzie”, to ile to mówi o nas samych, naszych interesach i dbałości o to, żeby nic nie zakłóciło naszych stref komfortu? Jeśli będziemy mówili o przemocy wobec kobiety, to możemy się spodziewać, że zrazimy do siebie jej męża. A co, jeśli jest on także naszym partnerem w interesach, albo może czyimś szefem, lub głównym sponsorem? Wówczas wszystko staje się naprawdę śliskie. Odchodzimy mówiąc: „Nie chcę się w to mieszać”; albo sami się oszukujemy pozornie pojednawczym mamrotaniem, w ogóle nie poruszając kwestii krzywdy.

Ale jesteśmy w to zamieszani, ponieważ prowadzimy interesy z mężem (albo czerpiemy zyski z tego, że wykorzystuje żonę) i podtrzymujemy go w złudzeniu, że jest w porządku, że jest częścią cywilizowanego tłumu. Szukamy ucieczki w sloganach typu: „obie strony mają co opowiadać” – taki unik sumienia. Ale choć jedynie milczymy, to nasze milczenie uzbraja oprawcę w tarcze szacunku, i tak poprzez samo milczenie już zostaliśmy

złapani w sieć współwiny (podobny zresztą może być skutek bezkrytycznego solidaryzowania się z ofiarami ucisku). Nawet, jeśli byli tylko niewielką mniejszością ci, którzy nie zgodzili się zignorować zbrodni popełnianych przez nazistów na Żydach, byli cywilizowani; a inni są współwinni ich krwi. Mówienie o „kwestii żydowskiej”, „relacjach czarnych z białymi”, czy „problemach małżeńskich” nie jest jakąś szczególną cnotą, ale drogą, na początku której znajduje się akceptacja zbrodni, a na końcu której znajduje się współwina.

Autor: Farid Esack

Źródło: [Trybuna Robotnicza](#)

O AUTORZE

Farid Esack jest nauczycielem akademickim, dziennikarzem i muzułmaninem. Pełnił funkcję Komisarza ds. Równości Płci w rządzie Nelsona Mandeli. Obecnie jest profesorem w Xavier University w Cincinnati (Stany Zjednoczone). Poyższy artykuł po raz pierwszy ukazał się na stronie internetowej www.hotcoals.org.